

Edmund Jeziarski

Ludzie 
elektryczni

Edmund Jezierski

Ludzie elektryczni

Powieść fantastyczna

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Edmund Jeziński
„Ludzie elektryczni”

Copyright © by Edmund Jeziński, 1931
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona”
Wydawnictwo: Biblioteka Książek Błękitnych
Warszawa, 1931

ISBN: 978-83-8119-494-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I. TOWARZYSTWO KOLONIZACJI SAHARY.

Paryż został zelektryzowany.

Paryż, którego chyba nic już w świecie zadziwić nie może, rozentuzjasmowany został artykułem, zamieszczonym na naczelnym miejscu w dzienniku „Matin“, i zwracającym uwagę olbrzymim tytułem:

„Kolonizacja Sahary“.

A potem dopiero szło, co następuje:

„Francji przybywa potężny szmat ziemi. Sahara, ta piaszczysta, bezpłodna Sahara zamienić się ma w krainę zdolną do uprawy, rodzącą zboża, wino, pokrytą zielenią. Wykwitną na niej ludne kolonie, miasta, powstaną fabryki i zakłady przemysłowe, które zajmą się eksploatacją bogactw mineralnych, spoczywających w łonie ziemi, pod piaszczystą powierzchnią.

Miljony ludzi, cierpiących biedę i głód, znajdą zarobek, znajdą chleb, a nawet dostatek. W ten sposób choć w części rozwiązana zostanie tak paląca w obecnej dobie kwestja socjalna.

A zarazem przyczyni się to do zaokrąglenia politycznej całości władai Francji w Afryce. Po zdobyciu Algeru, po zajęciu Marokka i Tunetanji, Sahara urodzajna, rozkolonizowana Sahara stanowić będzie potężny i najlepszy łącznik Europy z kolonjami naszymi w Kongo i Kamerunie. Bogactwa tamtejsze dzięki temu będą mogły być starannie i obficie eksploatowane, przyczem i wpływ nasz rozszerzy się na znacznie większe przestrzenie.

Biała plama na środku mapy Afryki zniknie, nie będzie tam krain, nieznanym podróżnikom, takich, do których nie dotarła noga Europejczyka. Afryka obecnie nie ma już tajemnic...

A sprawcą całego tego przewrotu jest stojący na czele Towarzystwa Akcyjnego Kolonizacji Sahary — inżynier Kazimierz Halicz, znany chlubnie z prac swoich i wynalazków na polu elektryczności, wielokrotny zdobywca nagród na

przeróżnych konkursach naukowych, a ostatnio odznaczony wielką nagrodę Nobla za pracę z dziedziny fizyki oraz orderem legji honorowej.

Finansowaniem całej sprawy zajmuje się jeden z milionerów Maurycy Leblanc.

Sam on zabiera dla siebie połowę akcji, podczas gdy drugą połowę nabywać można w biurach nowopowstającego Towarzystwa przy ulicy Chassée d'Antin oraz w pierwszorzędnym bankach. Kapitał zakładowy powstającego towarzystwa wynosić ma miliard franków. Jak się dowiadujemy, akcji wolnych pozostało niewiele“.

Jednocześnie prawie na wszystkich miejscach widocznych Paryża ukazały się olbrzymie plakaty, obwieszczające o powstaniu nowego Towarzystwa oraz o rozpoczęciu sprzedaży akcji zarówno w biurach, jak i w Bankach.

Entuzjazm paryżan po przeczytaniu tych obwieszczeń oraz mnogich artykułów na ten sam temat, rozrzuconych po wszystkich prawie pismach Francji, dosięgnął szczytu.

Najlepszym wyrazem tego zainteresowania było obłożenie wszystkich domów bankierskich w Paryżu i na prowincji przez żądnych zapisania się na nowe akcje, mające przynosić olbrzymie zyski.

W przeciągu jednego dnia cała wysokość kapitału zakładowego pokrytą została zapisami, przyczem cena akcji podniosła się prawie w dwójnasób.

Największy jednak ruch panował przy ulicy Chaussée d'Antin, przy biurach nowo powstającego Towarzystwa.

Tłumy ludzi zebrały się tam tak wielkie, że z trudem pięćdziesięciu policjantów radę sobie z nimi dać mogło.

Każdy pragnął dostać się do biura, każdy chciał sprawdzić wiarygodność krążących wersji, no i zobaczyć kierownika instytucji, która dla Francji nową miała stworzyć erę, dać jej nowe ziemie i bogactwa.

— Bo skolonizowanie Sahary to nie bagatela, — dowodził w tłumie, żywo gestykulując, jakiś już siwiejący jegomość, — panie, to szmat ziemi... to dużo większe, niż Francja. A przytem droga otwarta... Z Algeru... z Marokka... do naszych posiadłości w Kongo... Oho, — tu jegomość znacząco potrząsnął

głową, — stajemy się przez to w Afryce pierwszorzędnym mocarstwem... Ten inżynier Halicz to musi być tęga głowa...

I zrywając z głowy kapelusz, zawołał gromko:

— Vive Monsieur l'ingénieur Halicz!

A za nim tłum, porwany i rozentuzjasmowany, powtórzył okrzyk...

Jednocześnie prawie ktoś rzucił słówko, że inżynier Halicz jest Polakiem i w tejże chwili rozbrzmiał drugi okrzyk, niemniej głośny, niemniej pełen entuzjazmu i zapału:

— Vive la Pologne!... Vive les Polonais!...

A tymczasem w biurach Towarzystwa wrzała gorączkowa praca. Gromada urzędników, pochylonych nad biurkami, wpisywała coś do olbrzymich ksiąg, obliczała, załatwiała korespondencję.

W innym znów pokoju, pochyleni nad rajzbretami rysownicy wykończyli plany jakieś, konstrukcje dziwnych maszyn i przyrządów, o tajemniczym jakimś przeznaczeniu.

W ostatnim wreszcie pokoju, zastawionym modelami przeróżnych maszyn, z stojącym pod ścianą stołem, zarzuconym rysunkami i planami, przy biurku również obficie zasłanym papierami, siedział mężczyzna lat średnich, o ściągłej twarzy i rozumnych oczach, zatopiony w odczytywaniu leżącej przed nim korespondencji.

A tak był pochłonięty tem, że nawet nie spostrzegł, jak drzwi od przyległego pokoju otworzyły się, i stanął w nich mężczyzna młody jeszcze, o twarzy zupełnie ogolonej, ubrany wytwornie, według ostatniej mody.

— No, monsieur Halicz, — zawołał przybyły, rzucając kapelusz i laskę na stół i wyciągając na przywitanie rękę do inżyniera, — dokonałeś pan przewrotu w Paryżu... Takie sceny, jakie się dzieją obecnie, widzieć można chyba tylko w dzień święta Republiki lub też w dniu obioru prezydenta.

— Bardzo mnie to cieszy, panie Leblanc, — odrzekł inżynier Halicz, podając nowoprzybyłemu rękę, — cieszy mnie ze względu na to, że w razie powodzenia

i potrzeby dalszego rozwijania mego pomysłu śmiało odwołać się mogę do Francuzów...

— O, co do tego, może pan być spokojny... Na przedsiębiorstwa, z którymi jest związany interes narodowy, a zwłaszcza interes własnej kieszeni, żaden Francuz nie poskąpi pieniędzy... Znajdą się wtedy nie tylko miliony, ale miliardy... Zresztą, jak sprawa stoi?...

— Zdaje się, że bardzo dobrze... Pierwszy transport maszyn i przyrządów odpłynął już z Marsylii do Algeru... Drugi — dziś lub najpóźniej jutro wysłany zostanie, a za nimi pójdą dalsze... Napływ zgłaszających się na akcje, jak pan sam powiada, jest bardzo znaczny. A więc posiadamy wszystko, co jest nam potrzebne: kapitały i teren do pracy. Pozostaje tylko wprowadzić w czyn pomysły moje, a rzecz cała zostanie załatwioną, i Sahara zakipi nowym życiem...

— Czy tylko te pomysły pańskie nie zawiodą czasem?... — spytał tonem wahającym się młody milioner.

Inżynier Halicz zwrócił na niego błyszczące jakimś wewnętrznym ogniem oczy i rzekł z naciskiem:

— Jestem ich pewien tak, jak siebie samego... Nie narażałbym na straty ani pana, ani tych, co z ufnością kapitały swoje lokują w akcjach naszego Towarzystwa, gdybym nie był przekonany o doniosłości moich wynalazków. Po głębszym namyśle i rozwadze dopiero zaproponowałem panu ten interes, i to jeszcze wahałem się, czy postawić go na takiej stopie. Dopiero przeświadczenie, że jest on czysty i pewny, skłoniło mnie do tego. Jestem Polakiem, panie Leblanc.

To mówiąc, inżynier z dumą podniósł do góry głowę.

— Nie przedsięwzię nigdy nic takiego, coby lekkomyślnem było i mogło innych na straty narazić...

W słowach jego było tyle godności i mocy, że Maurycy Leblanc mimowoli wstał z miejsca, i wyciągając ku niemu rękę, rzekł pełnym szacunku głosem:

— Daruje pan, lecz wcale nie miałem myśli urażenia go... Najlepszy dowód, że pokładam zupełną ufność w genialności wynalazków pańskich, złożyłem chyba

tem, że ofiarowałem do pańskiej dyspozycji cały mój majątek...

— Tak, lecz...

— Lecz pan go odrzucił, — przerwał mówiącemu pan Leblanc — i przyjął tylko część, nie chcąc mnie w razie niepowodzenia narażać na ruinę. To jest najlepszym świadectwem charakteru pana...

Tu rozmowę ich przerwało dyskretne pukanie do drzwi, a gdy inżynier Halicz zawołał:

— Proszę!... — drzwi otworzyły się i na progu stanął jeden z pracowników biurowych.

— Depesza! — rzekł krótko, podając złożony papier inżynierowi.

Ten wziął go do ręki, rozerwał szybko i przebiegać począł oczyma.

Na twarzy jego ukazał się rumieniec, a usta wykrzywił uśmiech.

— Znakomicie!... — zawołał, podając depeszę panu Leblanc, — niech pan, proszę, przeczyta. To od bratanka mego Czesława. Donosi mi, że pierwszy transport szczęśliwie dopłynął do Algieru, że złożony został w specjalnie na ten cel wynajętych składach, i że czeka na resztę transportu. Tymczasem zająć się ma wynajęciem wielbłądów i ludzi, celem przewiezienia tego wszystkiego do najbliższej oazy, któraby posłużyła za podstawę do dalszej naszej działalności... gdziebyśmy mogli położyć kamień węgielny całego przedsięwzięcia, które tak radykalnie zmienić ma wygląd Afryki, a Francji napędzić nowe miljardy...

Umilkł inżynier, a widząc, że urzędnik stoi przy drzwiach nieruchomo, jakby czekając na dalsze rozkazy, rzekł:

— Już nic, panie Dacré, może pan odejść.

Lecz urzędnik, skłoniwszy się tylko, odparł:

— Panie dyrektorze... Tam przyszedł jakiś niemłody już człowiek... prosi koniecznie o przyjęcie i posłuchanie, mówi, że jest rodakiem pana dyrektora...

Wyraz znużenia odbił się na twarzy Halicza.

Znów jeden z rodaków. Jeden z tych, co wyrzuceni falą losu poza granicę Ojczyzny, szukać muszą zarobku na obcej ziemi. A nie umiejąc nic praktycznie, czepiają się byle czego i byle kogo, żeby tylko żyć, żeby nie zginąć marnie z głodu gdzie pod płótem.

I ten rodak zapewne przyszedł prosić go o jałmużnę albo o posadę w nowotworzającym się Towarzystwie... Tu wzrok jego padł na siedzącego naprzeciwko milczącego Leblanca.

Nie, nie może przyjąć teraz tego rodaka, nie może przy tym właśnie Francuzie, wykwintnym, wytwornym, przywykłym do zbytku, i z drwiącą ironją patrzącym na wszystko, co tylko z nędzą i biedą styczność miało, co tylko ubóstwem trąciło, obnażać całej nędzy swych współziomków.

I wyprostowując się w fotelu, rzekł głosem silnym:

— Proszę, powiedz mu pan, że nie mam dziś czasu. Niech przyjdzie jutro, albo zresztą wyłoży piśmiennie, czego chce odemnie... Nie mam czasu na posłuchania. Nie mam czasu...

Pan Dacré spojrział zdziwiony na dyrektora, zdziwiony tem, że po raz pierwszy odprawiał biedaka i to do tego rodaka, bez wysłuchania go, nie rzekł jednak nic i, lekko skłoniwszy się, wyszedł z gabinetu.

Zapanowała tam przykra cisza, nie przerywana żadnym odgłosem, dobiegającym z zewnątrz.

Inżynier Halicz, ażeby ukryć swe zmieszanie, pogrążył się w odczytywanie jakiegoś długiego listu. Leblanc również milczał, przyglądając się rozłożonym na stole planom, starając się z nich zrozumieć choć cośkolwiek, od czasu do czasu rzucał tylko ukośne spojrzenia na twarz inżyniera, jakby chcąc z niej wyczytać nurtujące go myśli...

Lecz twarz tegoż stanowiła nieruchomą maskę, i tylko przecinająca czoło głęboka zmarszczka świadczyła o myślach, kłębiących się pod czaszką.

Cisza taka trwała dość długo.

Przerwał ją wreszcie inżynier Halicz, mówiąc do Leblanca.

— Jeżeli wszystkie dalsze roboty będą iść w tem tempie, i o ile fabryki dostarczą nam na czas potrzebnych maszyn, to w przeciągu roku znaczna część Sahary zdaną będzie do kolonizacji, a za dwa lata droga między Algierem, a posiadłościami francuskimi w Senegalu otwartą...

— I dzieło twe, panie inżynierze, — odrzekł z kurtuazją Francuz, — skończone, uwieńczone powodzeniem.

— O nie! — odparł żywo Halicz, — praca moja nigdy nie będzie skończoną... Zapomina pan o tem, jak znaczne jeszcze obszary na kuli ziemskiej pozostają nieuprawne, jakie przestrzenie zajmują piaszczyste pustynie... Uczynić je zdolnymi do uprawy, osiedlić na nich nadmiar ludności, zmusić jałowe dotychczas piaski do rodzenia zbóż, wyzyskać wszystkie ukryte w ich głębi bogactwa mineralne — oto zadanie i cel mój... Wystarczy mi przy tem pracy na długie... długie lata... I tak ja tylko dokonam części tej pracy, resztę pozostawię następcom swoim...

Inżynier mówił z zapalem, dał mu się porwać, unieść... Oczy mu błyszczały, zdało się, iż urósł, wyolbrzymiał.

Leblanc patrzył nań z podziwem, i już miał coś rzec, gdy naraz rozległo się znów pukanie dyskretne do drzwi.

— Proszę! — zawołał Halicz.

Drzwi się otworzyły, i na progu stanął pan Dacré, zbliżywszy się do biurka, rzekł:

— Ten pan nie chce odejść. Mówi, że musi koniecznie widzieć się dziś z panem. Powiada, że wystarczy powiedzieć tylko jeden wyraz, a pan zaraz go przyjmie.

Zaciekawienie błysnęło w oczach inżyniera.

— Jakiż to wyraz? — zapytał ciekawie, — czy nie mówił go panu?

— Mówił, — odrzekł pan Dacré, — jakiś dziwny wyraz. Zdaje się: Dębogóra...

Pomimo, iż Francuz słowo to wymówił znacznie przekręcone, zrozumiał je Halicz.

Na obliczu jego ukazał się wyraz zdumienia, a oczy zapłonęły radością.

— Dębogóra! — zawołał, — proś pan tego pana! Proś natychmiast, — dorzucił, popychając ku drzwiom zdumionego pana Dacré, poczem, zwracając się do Leblanca, dorzucił:

— Daruje pan, że przy panu przyjmę tego interesanta, lecz to ktoś tak drogi i bliski sercu memu, że nie mogę go nie przyjąć.

— Ależ niech pan, drogi inżynierze, — rzekł, wstając z miejsca Leblanc — nie krępuje się mną. Ja i tak wychodzę... Jutro będę, by dowiedzieć się bliższych szczegółów o stanie zapisów na akcje... Żegnam pana!

I uściskawszy mocno dłoń Halicza, skierował się ku drzwiom, gdzie na progu minął się ze starcem o wyniosłej postawie, o orlej twarzy, i płonących ogniem młodości oczach, o bujnej siwej czuprynie.

Cała postawa starca tego nakazywała mimowolny szacunek i posłuch. Skłonił się mu też mimowolnie Leblanc, przechodząc obok niego i zniknął za drzwiami.

W gabinecie pozostali sami: inżynier Halicz i wyniosły starzec...

II. TUŁACZE.

Przez chwilę dłuższą stali naprzeciw siebie nieruchomo, wpatrując się w siebie, mierząc się pełnemi ciekawości, badawczemi oczyma...

Widać w nich było i rozradowanie jakieś dziwne, i ciepło serdeczne, i wily się pytania, których usta wypowiedzieć nie mogły, czy nie chciały...

Wreszcie przerwał to milczenie pierwszy Halicz...

— Wuju! — rzekł cicho, zwracając się do starca, i wyciągnął ku niemu ramiona.

— To ty, siostrzeńcze! — odrzekł mu starzec, — ty, tak wielki i głośny obecnie... ty, co wzniósłszy się dzięki reklamie gazeciarskiej tak wysoko, odmawiasz przyjęcia rodaka, odprawiasz go od progu, nie zapytawszy się uprzednio, czy nie jest głodny?... Czy jadł co? czy ma środki do życia?

Wytłumacz mi się, proszę, z tego, a w tedy dopiero podam ci rękę... Inaczej obcy sobie jesteśmy.

Na twarzy Halicza ukazał się rumieniec.

— Daruj, wuju, — rzeki po chwilowym namyśle, — przyznaję się, zawiniłem. Lecz teraz tylu schodzi się rodaków bez chleba, tylu ich prosi o zajęcie lub pomoc, a ja, przy całym nawale swej pracy, nie mogę udzielić im ani sekundy czasu. Dlatego też muszę odprawiać ich...

— Dlatego, — surowo rzekł starzec, siadając na fotelu, — to zbyt błahy powód. Pamiętaj, że to są tułacze, bez dachu, bez chleba, włóczący się po całym świecie, pędzący marny żywot... Pamiętaj i o tem, że my wszyscy tworzyć winniśmy jedno wielkie bractwo, jeden wielki zakon, którego członkowie wszyscy wzajemnie pomagają sobie winni, i że wszystko winno być wspólne. Wspomnij też sobie i rozmowy, i plany, i rojenia wspólne nasze, w Dębogórze snute, a wtedy sam uznasz, czy postąpiłeś słusznie i sprawiedliwie.

Inżynier Halicz, człowiek o wszechświatowej sławie, stojący na czele olbrzymiego przedsięwzięcia, rozporządzający olbrzymimi funduszami, twórca potężnego dzieła, które imię jego rozślawić miało po całym świecie, słuchał słów starca z opuszczoną na piersi głową.

— Tak, przyznaję, — odparł wzruszonym głosem, — nie postąpiłem tak, jak powinienem był postąpić. Pochłonięty nadmiarem pracy, zapomniałem, wuju, o wszystkim, i, proszę cię, przebac mi to zapomnienie, zwłaszcza, że cała teraźniejsza praca moja ma na celu dobro właśnie tych rodaków — tułaczy...

Starzec zmarszczył brew i, patrząc na niego badawczo, rzekł:

— Opowiedz mi o tych planach swoich. Są one tak fantastyczne i tak olbrzymie, że, czytając o nich artykuły dziennikarskie i reklamy, nie chce się im wprost wierzyć. Zdjął mnie też lęk, panie siostrzeńcze, czy obracając się w sferze aferzystów giełdowych paryskich, nie przejąłeś się ich zwyczajami, lub też nie wpadłeś w ich sidła i nie umaczasz rąk w jakiejś brudnej sprawie.

— Wuju, — zawołał z wymówką w głosie Halicz, — znasz mnie chyba dobrze, i wiesz, że nie zdolny jestem do czynu, któryby się minął z pojęciem uczciwości i honoru. Sprawa i dzieło, do którego się zabieram, bezwzględnie muszą być czyste i pewne, gdyż inaczej nie przystępowałbym do nich... Ci bankierzy i

miljonerzy są tylko narzędziem w mem ręku... narzędziem, dostarczającym mi środków do przeprowadzenia planów moich.

— Opowiedz więc mi o nich, — rzekł już znacznie łagodniej starzec, — wtajemnicz i mnie w nie, bym choć w drobnej może części mógł ci się stać pomocny.

Inżynier Halicz na to wezwanie podszedł do stołu, wziął leżącą na nim mapę, i rozwijając ją przed starcem, mówić zaczął:

— Patrz, wuju na te bezbrzeżne, bezkresne prawie morze piasku, jakie przedstawia Sahara... Leży ona odłogiem, nieurodzajna, pusta, podczas gdy miliony ludzi nędzę cierpi, głód znosi, nie mogąc znaleźć pola do pracy, gdyż ziemia uprawna płodami swymi wykarmić ich nie może. Oto zadaniem mojem i celem jest te bezpłodne przestrzenie uczynić urodzajnymi, zdatnymi do uprawy, do rodzenia owoców i zbóż... Prócz tego, wyzyskać chcę niepotrzebne skarby mineralne, kryjące się pod piaszczystą powierzchnią tej pustyni.

— Plan piękny, — rzekł starzec, który z uwagą słuchał opowieści Halicza, — lecz przy pomocy czego dokonasz tych cudów?

— Przy pomocy elektryczności, — odparł spokojnie zapytany — ona to zdolna jest dokonać wszystkiego, i ona to jest głównym czynnikiem, który posłuży do odrodzenia się pustyni...

— I ty sam... sam, chcesz dokonać tego dzieła?...

— Nie, wuju, nie sam... mam pomocnika, który już z pierwszym transportem potrzebnych maszyn i narzędzi wyruszył na Saharę... Jest nim bratanek mój, a twój wnuk, Czesław... Pracował on dłuższy czas pod moim kierunkiem, wtajemniczony jest we wszystkie me plany, projekty i wynalazki, tak, że w razie mej śmierci, on jeden tylko mógłby być odpowiednim kierownikiem rozpoczętych prac i przygotowań... dalszym wykonawcą mych planów.

Zamyślił się starzec nad słowami jego, wreszcie zapytał:

— A skąd weźmiecie kolonistów do zaludnienia przygotowanych do uprawy terenów.

— Skąd?... a czyż to mało ludzi rok rocznie odrywa się od roli, od pracy przy

niej, by podążać za Ocean po chleb, po zarobek... I tam już jednak uczuwa się przeludnienie... Toż całą tę falę emigrantów skierować chcemy na utworzone przez nas kolonje, przyczem dawać im będziemy warunki jaknajdogodniejsze. Oderwani od ziemi ojczystej, tułacze ci bliżej będą kraju rodzinnego, będą mogli łatwiej z nimi utrzymać kontakt, złączeni razem, nie zatracą tak rychło mowy ojczystej, a z bogacając się tu, nieść pomoc w potrzebie Ojczyźnie będą mogli, zwłaszcza, że o zachowanie odrębności narodowej każdej grupy kolonistów gorąco dbać będziemy i energicznie zapobiegać ich wynaradawianiu...

Umilkł Halicz, a starzec siedział w milczeniu, z głową wspartą na dłoni. Wstał wreszcie, wyciągnął do siostrzeńca ramiona i rzekł:

— A więc niech Bóg ci błogosławi w pracach twych i zamiarach... Jeżeli w dziele twem para rąk przydać się może — masz mnie. Staję do pracy pod kierunkiem twoim, widząc, że dzieło to twoje uczciwem jest i że dobro ludzkości ma na celu... Lecz nie chcę stawać do pracy z gołemi rękoma... Zakupię paręset akcji tego przedsiębiorstwa i, jako akcjonariusz, żądam stanowczo, byś wysłał mnie na teren przyszłej pracy, do Afryki...

Gorąco uścisnął go Halicz i zawołał:

— Nie mógłbym marzyć o lepszym pomocniku nad wuja. We trzech teraz stworzymy dzieło, które wiekopomnem będzie i które do uszczęśliwienia ludzi przyczyni się znacznie.

— Kiedyż więc mam jechać? — spytał niecierpliwie starzec, wskaż mi termin i udziel instrukcyj... Pragnę czynu, pragnę dokazać, że przydać się do czegoś mogę.

Inżynier Halicz spojrział do notatnika i spytał:

— Czy mógłby wuj wyruszyć w drogę za trzy dni?

— Choćby jutro nawet, — odrzekł zapytany, — rzeczy mam spakowane, tak że tylko siadać na okręt i jechać.

— A więc za trzy dni, — ciągnął dalej Halicz, — wyrusza z Marsylji do Algieru okręt, naładowany częściami maszyn i przyrządów, potrzebnych nam do budowy pierwszej stacji. Możeby wuj udał się nim, a na miejscu, w Algerze, roboty będzie już niemało... Czesław udzieli tam wujowi potrzebnych wskazówek.

— Dobrze, mój chłopcze! — odrzekł, wstając, starzec, — przechodzę w zupełności pod twoją komendę, i posłusznie rozkazy wykonywać będę. A wiesz dobrze, że subordynacja jest mi dobrze znaną... Żegnaj zatem, a w przeddzień wyjazdu wpadnę do ciebie po rozkazy.

Uściskali się serdecznie, i starzec wyszedł, a inżynier Halicz stał chwilę pogrążony w zadumie...

Zasiadł potem przy biurku i gorączkowo zabrał się do pracy...

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

